

Jedenasty gwóźdz

Autor: Adam Małkiewicz



Urodziłem się na początku dekady czasów Edwarda Gierka¹ w rodzinie kulturowo dość zmiksowanej: Mama góralka, tato ze Lwowa. Oboje z bogatymi doświadczeniami powojennymi. Byłem ostatni z trojga rodzeństwa. Dwie siostry bliźniaczki podobne do siebie do tego stopnia, że na wezwanie nauczyciela wychodziły do odpowiedzi zamiennie, w zależności, która lepiej знаła temat. Zawsze się udawało, tym bardziej, że obie chodziły w identycznych ubraniach. Pamiętam ich krótkie kieciki i wysokie aż nad kolana kozaki z wielkimi obcasami. To czasy ABBY i SMOKIE, zespołów które opanowały serca ówczesnej młodzieżówki. Sześć lat po ich urodzeniu na świat przyszła trzecia siostra, kolejne sześć lat przerwy no i ja. To się nazywa planowanie. A poważnie? Wpadka.

Jako dziecko (wtedy nie umiałem jeszcze czytać) miałem dwie, szczególnie ulubione zabawy. Jeżeli podczas czytania chcesz się śmiać – nie hamuj tego:) Powiem o co chodzi, bo będzie to potrzebne na samym końcu tej historii. Czasy, kiedy bawiłem się w tą zabawę to czasy czarnobiałych odbiorników i programów nadawanych dopiero po 16-tej. Często jedynym punktem w programie, który można było o tej porze obejrzeć były obrady Sejmu lub przemowy sekretarza KC PZPR, towarzysza Edwarda Gierka. Miałem pięć lat. Co miałem oglądać? Gapiłem się więc uparcie w ekran i próbowałem cieszyć się czarnobiałymi facetami w garniturach. To, co ujęło mnie szczególnie, to momenty, w których za mównicę wychodził Edward Gierek i rozpoczynał swoje przemówienia przerywając je cyklicznie szelestem przekładanych w pliku kartek: czszszt. Ten szelest mnie elektryzował. Sam nie wiem czemu. Zacząłem wrywać pliki kartek z pustych zeszytów siostry i choć nie umiałem pisać zapelniałem je od góry do dołu szlaczkami, znaczkami, kółkami, kwadracikami... Miałem tego całe pliki – jak Edward Gierek. Pamiętam to do teraz. Kiedy nikt nie widział, wchodziłem wówczas na wysokie krzesło, brałem zapisane „przemówienie” patrzyłem przez firankę na przechodzących ludzi (oczywiście nie widzieli mnie) i zaczynałem tak, jak słyszałem w telewizji: „Drodzy towarzysze i drogie towarzyski. Jesteśmy tutaj po to, aby naznaczyć kierunek naszego kraju...”, po czym przemowę przerywałem cyklicznie szelestem swoich zabazgranych kartek: czszszt. Potem znowu coś gadałem i znowu: czszszt. Mogłem tak długo.

A druga ulubiona zabawa? Wyobraź sobie. Słoneczny dzień, ponad 28 stopni ciepła, koledzy bawią się na zewnątrz. A ja? Siedzę na starej wersalce w ciemnym pokoju z małymi okienkami, trzymam w rękach metalową pokrywkę z garnków mamy, ze szpary pomiędzy bocznym oparciem a kanapą, tam, gdzie zwykle wpadają śmieci, wystaje drewniana warzecha² i udając kierowcę przez trzy godziny kręcę pokrywką i zmieniam biegi załatwiając wirtualnie wiele przeróżnych spraw. Mama nakłania mnie do wyjścia na dwór: „Co ty wyprawiasz? Chcesz słoneczny dzień przesiedzieć w domu? Jazda do kolegów! Będziesz tutaj siedział, gdy będzie padał deszcz!

¹ W latach 1970–1980 sekretarz KC PZPR, polski polityk i działacz komunistyczny.

² Rodzaj długiej, drewnianej łyżki z jasnego drewna służącej do gotowania

– Ale mam, nie mogę teraz, muszę jeszcze załatwić różne sprawy! – broniłem się jak mogłem. Oto moje dwie ulubione zabawy. Na razie je zostawimy, ale wrócę do nich na końcu.

Rodzice dorabiali się wszystkiego od przysłowiowej łyżki, a ich pracodawcą (aż do emerytury) były Polskie Koleje Państwowe. Tato pracował dużo. Był cenionym specem technicznym od obsługi silników austriackich maszyn Plasser&Theurer przeznaczonych do budowy i utrzymania torowisk, dlatego często wyjeżdżał w różne rejony Polski. Do dziś zachodzę w głowę, jak jego wielkie jak patelnie łapy tak sprawnie poruszały się po klawiaturze akordeonu. No tak, tego jeszcze nie wiecie – Tato prowadził pięcioosobową kapelę, która jak na tamte czasy miała sporo roboty. Obgrywali kantyny wojskowe, śluby, imprezy sylwestrowe i inne. To było to, co mnie, siedmiolatek zaczęło wkręcać.

Jak pamiętam, stukałem we wszystko, w garnki, szklanki, nogi od stołu i tak zostało mi do dziś. Czasami, nawet w gościach, zapomnę się i wystukuję jakieś rytmy pod cudzym stołem. Rytmy zawsze były dla mnie ważne. Jako siedmiolatek zacząłem stukać w prawdziwe bębny perkusji, którą często po imprezach przywożono do „magazynu” czyli naszego domu. Nauczyłem się rozkładać klamoty, a potem włączałem jakąś muzykę z płyt winylowych czy kaset i kombinując uczyłem się tworzyć coś swojego. Kiedy miałem osiem lat po raz pierwszy pozwolono mi zagrać kilka kawałków na prawdziwej imprezie, potem drugiej, trzeciej... Jeśli było blisko tato czasami zabierał mnie z sobą, a ja tylko rwałem się i marzyłem, żeby mnie wpuścili choć na chwilę. Czułem się jak w niebie, choć z niebem nie miało to nic wspólnego.

Tato pił. Jak to przy muzyce, alkoholu nigdy nie brakowało. Po zakończonych imprezach cała ekipa zwykle już zalana, zwałała do naszego domu, aby dalej poprawiać to, czego poprawiać nie trzeba już było.

Imponowali mi ci faceci. Byli ważni zbierali oklaski prosili ich, aby grali tu i tam. Chciałem być jak oni, ale najbardziej jak ich szef – mój Tata. Przy różnych okazjach zacząłem próbować i podkradać wódkę, a kiedy bywałem z Tatą na imprezie, jako przyklejany członek zespołu, oficjalnie mi ją proponowano: „no to jak, mały! To jesteś częścią tego zespołu czy nie?” Nigdy się nie krzywiłem, bo to wstyd, a jeśli mam być taki jak Tata... Wszystko wskazywało, że właśnie zmierzam w jego ślady.

Podczas kolejnej umówionej imprezy weselnej zdarzyła się katastrofa, która dla mnie okazała spełnieniem największego – jak na tamten czas – marzenia. W ten weekend wypadł ze składu główny perkusista. Żeby ratować honor kapeli na gwałt szukano kogoś innego, ale nie znaleziono. Jediną deską ratunku pozostał ten niewyrośnięty dziewięciolatek, który czy przeżyje szesnaście godzin grania? Nieważne – byłem wniebowzięty! Teraz miałem okazję naprawdę być członkiem zespołu, nie jakimś tam przyklejonym dodatkiem. Gospodarze imprezy traktowali mnie jak dorosłego. Miałem własne miejsce przy stole muzyków, takie same zastawy, sztuczki no i... kieliszek. Z zachwyty prawie rosły mi wąsy. Nie dopuszczałem myśli, że mam korzystać z połowy porcji posiłków i innych dodatków. Wszystko miało być tak samo, jak pozostali członkowie. Wytrzymałem czternaście godzin, a o 4:30 rano zjeżdżałem już z obrotowego krzeselka bez grama sił. Tymczasem wesele chce się bawić, ale jak to możliwe bez zespołu i perkusisty? Proszony o to, aby grać dalej z opadłymi rękami kręciłem tylko głową: „nie dam już rady”, co też reszcie chciał wytłumaczyć mój Tata. Pamiętam wtedy wysoką dziewczynę z długimi, czarnymi włosami, która po nieudanej próbie

nakłonienia mnie do grania zniknęła w drzwiach obitych grubymi futrynami. Pojawiła się po około dwudziestu minutach z ogromną metalową michą z której wypadały niemieszczące się już banknoty zebrane od ponad 120 gości weselnych.

- Graj! – powiedziała stanowczo wyciągając miskę w moją stronę. Grałem przez następne dwie godziny. Tego dnia (a raczej nocy) dziewięciolatek zarobił więcej pieniędzy niż wszyscy członkowie zespołu razem wzięci. Mój Tato był na tyle honorowy, że nie odebrał mi tych pieniędzy, ale już następnego dnia dobrodusznie przekazałem je wszystkie mojej siostrze. Rosły mi skrzydła, ale niebem nadal to nie było.

Pamiętam jak dziś krzyk i łzy mamy. Prosiła „nie rób tego!” Krzyczała do taty z którym właśnie rozpalaliśmy ognisko z płaszczy i kurtek na środku gościnnego pokoju. Było po jakiejś dramatycznej kłótni. Innym razem instrumenty leciały przez otwarte drzwi prosto na podwórko.

Choć ludzie mówili: „ten chłopak ma wielki talent, poślijcie go do szkół”, Mama wiedziała, że rytmy, które wybijam są destrukcyjnymi rytmami życia, które tak naprawdę się jeszcze nie zaczęło.

Świadkiem tych wszystkich wydarzeń była dziwna, inna niż wszystkie, książka w czerwonej obwolucie z grubym tłoczonym napisem: Biblia Święta, dostojnie stojąca na domowej półce. Zawsze leżała tam, gdzie miejsce wszystkich książek i nawet Tato poczytywał czasami żeby później móc dyskutować z nawiedzającymi nasz dom Świadkami Jehowy. I chociaż w domu nie było co do Biblii wielkich uprzedzeń, to jednak całkiem serio nikt jej nie traktował. Minęło trochę czasu, a w naszym domu pojawili się nasi krewni i jeszcze jacyś poważni ludzie. Długie dyskusje, częste odwiedziny, w końcu regularne niedzielne spotkania, ale nic z tych rzeczy, które działy się w gościnnym pokoju nie pociągało mnie ani formą, ani treścią. Dokładnie pamiętam, jak kilkunastoosobowa grupa śpiewała jakieś nudne kawałki, podczas gdy ja w tym samym czasie razem z siostrami oglądałem za ścianą telewizję, która wydała się o wiele atrakcyjniejsza od smętnego monologu kaznodziei, który jeśli już do mnie podchodził to po to, aby powiedzieć mi co powinienem, a czego nie powinienem robić.

Pod wpływem tych spotkań skończyło się granie w kantynach i na innych imprezach. Tato przesłał się upijać... zauważyłem sporo zmian i wiedziałem, że mają one związek z Biblią i ludźmi, którzy nas odwiedzają. Choć byłem zachęcany do jej czytania interesowałem się nią z czysto technicznych powodów. Żadna z książek nie miała tak bibułkowatego, nietypowego papieru, dwuszpaltowego druku i czerwonej obwoluty. Ciekawiło mnie to. Czytanie Biblii rozpoczynałem pięciokrotnie bez większych rezultatów. Zwykle dochodziłem do 16 rozdziału pierwszej Mojżeszowej, aby po kilkumiesięcznej przerwie znów rozpocząć od początku. Nic poza tym.

Jako chłopak byłem już niezłym kombinatorem. Podkradałem rodzicom papierosy, a że były kręcone na metry i podawane na wagę, trudno im się było zorientować. Uczyłem palić kolegów, a ci, którzy nie potrafili puszczać kólek lub się zaciągać dostawali od nauczyciela po głowie. Zawsze lubiłem mieć coś na zapas, nie tylko papierosy, w zasadzie dotyczyło to różnych obszarów mojego życia. Przykładowo, kiedy Tato kazał przynieść dziesięć gwoździ, wolałem wziąć jedenaście. A gdyby jeden był felerny, albo zgubił się? – myślałem. Nie lubiłem być niemile zaskakiwany okolicznościami i zawsze musiałem mieć coś „ratunkowego”. Taki sposób na życie.

Uczyłem się jak naprawiać rzeczy jednorazowe i robić jak mawiał mój Tato: „myśl, chłopie, dużo myśl, a potem rób”. I wymyśliłem.

Patrząc na życie styrych praca rodziców, choć młody i głupi, zacząłem się zastanawiać nad sensownością życia. Samego siebie zasypałem pytaniami, które spowodowały, że straciłem sens życia. Być może cię teraz przynudzę, ale chcę pokazać ci mój tok myślenia jako jedenastolatka.

Mama ciągle denerwowała mnie pytaniami: „a zadanie do szkoły na jutro zrobione?”

– A tak w ogóle po co mi ta szkoła? – pytałem sam siebie i rodziców.

– Jak to po co? Po to, żebyś coś wiedział i później mógł pójść do lepszej szkoły.

– Ale do czego mi ta lepsza szkoła? – ponawiałem pytanie.

– Po to, żebyś mógł zdobyć dobrą pracę i zarabiać dobre pieniądze.

– W zasadzie po co mi te pieniądze? No tak, wiem. Po to, żebym mógł kiedyś zbudować dom, kupić samochód, zdobyte mozolną pracą pieniądze mógł wydać na dwa tygodnie dobrych wakacji i potem, zmęczony znów wrócić do ciężkiej pracy... Acha, no jeszcze żeby kiedyś założyć rodzinę i mieć dzieci...

– Ale po co mi dzieci? No tak, logiczne, po to, żeby cieszyć się nimi, w końcu posłać je do szkoły, po ciężkim mozołie wysłać je do lepszej szkoły, aby znalazły dobrą pracę...

Wnioski do jakich wtedy doszedłem spowodowały, że moje życie jakby się skończyło. Straciłem sens. Jeżeli w tym życiu chodzi tylko o to – mówiłem sobie – żeby ciężko harować i mieć to, co ma mój Tato (a pomimo starań naprawdę mieliśmy niewiele), to jest to całkowity bezsens i najbardziej sensowną rzeczą jest to, by to życie w miarę szybko zakończyć. Zaś temu, który to życie skonstruował najwyraźniej nie wyszło. Miałem około 11 lat. Jeśli chodzi o sensowność życia i wieczność, to zabrakło mi tego „jedenastego gwoździa”. Moje przytłaczające wnioski to jeszcze nie myśli samobójcze, ale z pewnością do tego prowadziły. Na szczęście Bóg obserwował moje życie i miał wobec mnie konkretne plany.

Czytanie nie było dla mnie karą więc robiłem to dość często. zaczytywałem się szczególnie w książkach przygodowych Jerzego Chmielewskiego, a później Karola Maya wypożyczanych w szkolnej bibliotece. Któregoś dnia szukałem znudzony czegoś na lodówce.

Złapałem coś papierowego. Książeczka jakaś? Co to jest? „Teraz nasz Wódz!”³ – brzmiał tytuł na niebieskiej okładce niewielkiej, 29-stronicowej książeczki z której prawie połowa to obrazki przedstawiające chłopaka w moim mniej więcej wieku. Zamknąłem drzwi i zacząłem czytać. „Było to w niedzielę po południu, w zimie. Piec był gorący i w pokoju było przyjemnie, ciepło. Chłopcy szukali sposobności, aby spędzić kilka chwil na rozmowie z ojcem...”

Połowa książeczki była opowieścią ojca o niesamowitym miejscu, niebie, w którym nie będzie już bezsensu, kłopotów, chorób i tego typu rzeczy, ale i o tym, że niestety nie wszyscy tam się znajdują. Była mowa o grzechu i wszelkiej nieczystości, które zamykają człowiekowi drogę do wieczności i których Bóg z powodu swojej świętości bardzo nienawidzi. Chłopcy na rysunkach byli bardzo zaszuchani, a ja razem z nimi. Gdzieś w połowie książeczki buchnąłem cichym, ale głębokim płaczem. Przyszło tak ogromne przekonanie o grzechu, że sam nie wiedziałem, co się dzieje. Poczułem się wrednie, niczym najgorszy przestępca. Bardzo wyraźnie, jak pod reflektorem zobaczyłem, że w tym stanie nigdy nie znajdę się w niebie.

³ Zjednoczony Kościół Ewangeliczny, 1974

Płakałem z 15-20 minut tak, aż zanosilem się od płaczu załamany sam sobą. Dziękuję Bogu, że w tym momencie nie było żadnych „przeszkadzaczy” i miałem możliwość pójść do drugiej połowy książeczki, która wysłała do mnie komunikat: „Istnieje jednak możliwość, abyś mógł pójść do nieba”. Czytałem z takim przejęciem, jakbym wisząc nad przepaścią chwycił zrzuconą linę ratunkową, choć nie wiem jeszcze, kto ją zrzucił. Ale to było obojętne. Grunt, że jest nadzieja.

Czytałem, jak ojciec z opowieści mówi chłopakom o Jezusie, Jego przyjściu, krzyżu i zmartwychwstaniu, o tym, dlaczego to zrobił. W końcu dotarłem do strony, gdzie ojciec zaprasza swoich synów do modlitwy o przebaczenie grzechów, a że ja również byłem ich bardzo świadomy zrobiłem to samo, co oni – uklęknałem i zacząłem się modlić: „Boże, wiem, że jestem grzesznikiem...” Nie umiałem się modlić, ale słowa, które czytałem były tak prawdziwe, jakbym sam je wymyślił. Oddawały dokładnie to, co miałem w sercu i czego pragnąłem. Tego dnia zdecydowałem oddać swoje życie w panowanie Jezusowi. Nie będąc jeszcze do końca świadomy co się stało, nie znając takich terminów jak usprawiedliwienie, usynowienie, odkupienie... zostałem usprawiedliwiony, usynowiony i odkupiony. Wydarzyło się coś bardzo wielkiego: znalazłem swój „jedenasty gwóźdź”, zabezpieczenie co do wieczności i sensowności życia tutaj. Miałem dwanaście lat. To, co się stało, zachowałem dla siebie nikomu o tym nie mówiąc.

Nie wszystko zmieniło się w moim życiu tak, jak dzieje się to w przypadku wielu innych, zbawionych ludzi. U mnie raczej zaczęły się kłopoty. Niedługo potem poszedłem z kolegami na cudze orzechy, jak zawsze. Ale tym razem poszło inaczej. Uciekając przed goniącym nas sąsiadem wywróciłem się na torach kolejowych uderzając twarzą w szynę. Ból, krew... Po innym wybryku gwałtowna „pała” z klasówki. Jeszcze innym razem wywałam się brzydko na rowerze. Co się dzieje? Przecież takie historie nie miały miejsca wcześniej?! Zauważyłem, że po każdym wybryku ponoszę bolesne konsekwencje. Zrozumiałem to lata później, kiedy już głębiej studiowałem Słowo, że stając się Bożym Dzieckiem, Bóg stał się moim Ojcem, który zaczął mnie wychowywać i dyscyplinować za każdym razem, kiedy tylko zaszła taka potrzeba. Tak jest do dziś.

Ostatecznie razem z Tatą znaleźliśmy się w chrześcijańskiej społeczności w naszym mieście. Później dołączyła też Mama, a w późniejszym czasie reszta rodziny. 10 kwietnia 1988 roku w Bielsku-Białej miał miejsce chrzest, który jest między innymi obrazem pogrzebu. Kto umarł? Stary Adam, który tego dnia uświadomił sobie, co tak naprawdę stało się w jego życiu. Drżącymi rękoma po raz pierwszy w swoim życiu, podczas komunii podniosłem do ust kielich Pamiątki wdzięczny Bogu za to, że okazał mi tak wiele łaski i znalazł mnie zanim wydarzyło się coś złego. Ale nie chodzi o to, co się nie wydarzyło, ale co dopiero wydarzyć się miało.

Choć miałem zaledwie szesnaście lat od tego momentu w miarę regularnie byłem proszony przez Braci o dzielenie się Słowem Bożym na niedzielnych nabożeństwach. Trzy lata później w ramach amerykańskiej misji Bible Education by Extention rozpocząłem studium Nowego Testamentu, a potem rok teologii systematycznej i rok Starego Testamentu. Nie ma co ukrywać, to co mnie szczególnie motywowało to potrzeby umierającego zboru. Pomimo młodego wieku Pan Bóg wyraźnie kładł mi na serce odpowiedzialność służby w zborze i głoszenie Słowa. Międzyczasie, a trwało to 4 lata modliłem się o żonę, która byłaby Bożym darem dla mojego życia. Modliłem się długo, bo bałem się pomyłki.

Założenie rodziny spowodowało wielką zmianę w moim charakterze. Spoważniałem. Nie jestem już podlotkiem, ale mężem, no i wkrótce ojcem – myślałem sobie. Drastycznie zmieniło się moje podejście do życia, przesiadłem się z tylnych do przednich rzędów, a służba dla Pana zaczęła odgrywać coraz poważniejszą rolę. Kiedy ufasz Bogu On coraz bardziej przyciąga cię ku sobie.

Kiedy wyrzucasz kolejne „worki z piaskiem” ze swojego „kosza życia”, to twój balon wznosi się coraz wyżej, dzięki czemu możesz zobaczyć więcej. Dwa lata po ślubie postanowiłem pójść do czteroletniego seminarium biblijnego, aby bardziej poznawać Boga i Jego plany względem naszego życia. Wtedy nie miałem jeszcze pojęcia, co Bóg ma dla mnie i mojej rodziny.

Zostałem przez Niego obdarowany wyjątkowo dobrze płatną pracą w dużej firmie obuwniczej, a potem dwójką wymarzonych synów. W tym czasie na naszej drodze zaczęło też pojawiać się coraz więcej ludzi potrzebujących pomocy. Mając oczy szeroko otwarte na to, co się dzieje pojąłem, że nie siedzę w seminaryjnej ławce po to, aby zdobyć wiedzę na temat Boga, lecz aby rozsądniej móc pomagać innym i przyprowadzać do Chrystusa. Nastąpiło przekierowanie ze służby w lokalnym kościele na służbę wśród ludzi z zewnątrz. Po pierwszym roku seminarium pojawiała się ciągle to samo pytanie na które szukałem odpowiedzi: Panie Jezu, pokaż drogę, którą masz dla nas. Był rok 1997.

W swoim miejscu pracy, Kalwarii Zebrzydowskiej, nieustannie składałem świadectwo o Panu Bogu w skutek czego, tuż za płotem zakładu, w domu jednego z pracowników rozpoczęły się regularne spotkania biblijne. W firmie zahuczało. Nie podobało się to szefom, którzy na różne sposoby chcieli zablokować tą dywersyjną – jak to nazwali – działalność.

Jest 4 czerwca 1998 roku, rocznica naszego ślubu i dzień, który zaważy na naszej przyszłości. Tego dnia udaję się na spotkanie ze znanym kaznodzieją i wykładowcą. Czesław Bassara przyjmuje mnie z otwartymi ramionami, a ja z entuzjazmem opowiadam o swoich misyjnych, kalwaryjskich perypetiach. Szukam porady kogoś doświadczonego. Po zakończonej rozmowie mówi: „Po tym, co widzę i słyszę, śmiem twierdzić, że Bóg powołuje cię do pełnoczasowej służby misyjnej. Czy myślałeś o tym kiedyś?”

Uszczypnijcie mnie! Dla mnie było to jak otwarcie furtki do zamkniętego, nieznanego ogrodu, a ja jakbym urwał się z łańcucha. Rozpłakałem się. Tak, myślałem kiedyś o tym, ale nie miałem na tyle wiary, aby sądzić, że w moim przypadku jest to w ogóle możliwe. To, co jedynie zrobiłem, to mając 19 lat spisałem na kartce swoje nieśmiałe marzenia i to, co chciałem robić dla Boga w przyszłości: po pierwsze, chciałem głosić ludziom ewangelię tutaj, gdzie mieszkam, po drugie, jeszcze bardziej chciałem pasją do jej głoszenia zarażać innych chrześcijan w różnych miastach (wymieniłem ich nazwy) tworząc zespoły ludzi przygotowane do mądrej ewangelizacji indywidualnej.

Jak się okazało, do ogrodu, którego drzwi właśnie zostały mi otwarte weszliśmy z żoną trzy lata później angażując się w zakładanie wspólnot i rozwijanie ewangelizacji indywidualnej w Polsce w ramach pracy Ligi Biblijnej. Niezwykle pasjonująca służba, którą kontynuujemy od 2001 roku!

Bóg na nowo pokazuje mi wartość tego, co wolno nam robić. Ta praca nie ma znaczenia tylko do emerytury. To, co robimy i owoce jakie to generuje zostaną przeniesione do wieczności, mają znaczenie tu i teraz i będą miały znaczenie po tamtej stronie życia. Dzięki Ci, Panie, za

„jedenastego gwoździa”, za to, że wiem, dokąd idę i po co robię to, co robię! Kiedyś wnioskowałem, że życie nie ma najmniejszego sensu, że sens ma to, by zakończyć je wcześniej. Dziś niektórzy proszą mnie o prowadzenie wykładów „Jak żyć z pasją”. I to jest Jego praca jaką nade mną wykonał!

Cała nasza rodzina, żona i dwóch chłopaków, jest zaangażowana w służbę w kościele. O to gorliwie się modliliśmy i na tym Jezus położył swoją rękę. Bóg pozwala nam głosić Słowo w różnych miejscach Polski (czasami poza granicą) na konferencjach, obozach, szkolić misjonarzy czy przyszłych ewangelistów. Po drodze dzieje się coś ciekawego. Zdarza się, że po kilkunastogodzinnej aktywności (podróże i spalające wykłady) musimy wrócić do domu jeszcze tego samego dnia albo nocy, aby rano stanąć rześkim na niedzielnym nabożeństwie w naszej niewielkiej póki co społeczności. To niemałe, fizyczne wyzwanie. Czasami pastory widząc zmęczenie zachęcają: „Nie wracaj już dziś do domu, jest późno i jesteś padnięty. Zostań, odpocznij, a jutro będziesz głosił Słowo na naszym nabożeństwie”. Pomysł świetny, ale zwykle muszę wracać do swoich.: „Czy dasz radę? Nie zaśniesz?” – pytają. Działa u mnie taki dziwny mechanizm, że choć jestem bardzo zmęczony, a do domu setki kilometrów, po włożeniu kluczyka do stacyjki nagle następuje jakby wewnętrzne kliknięcie, szeroko otwierają się oczy, ciało się sprężynuje i bez sztucznych zasilaczy, RedBulli czy Espresso jestem w stanie podróżować długie godziny w zupełnej ciszy, nie mrużąc oka. Jak to możliwe – pytają mnie inni, ja pytam sam siebie i w końcu Boga: skąd się to bierze, Panie, że mam na tyle siły, że padam z nóg dopiero po wyjęciu kluczyka ze stacyjki? I dostałem odpowiedź.

Jakiś czas temu z moich szpargałów wypadła (wspominana wyżej) kartka z moimi marzeniami. Zapomniałem o niej. Czytam i nie wierzę. Po kilkunastu latach od jej napisania widzę, że robię dokładnie to, o czym marzyłem. Łzy się leją z oczu. Panie, Ty nigdy nie zapominasz...

Jeszcze coś Bóg mi pokazał? Chcesz wiedzieć skąd siła i pasja do tego, co robisz? Przecież pozwałam ci bawić się w najlepsze zabawy z twojego dzieciństwa! I rzeczywiście, minęły lata, a ja nadal godzinami siedzę w „pokoju z małymi okienkami, trzymając metalową pokrywkę z garnków mamy, ruszam warzechą i załatwiam wiele spraw” podróżując od miasta do miasta i nawiązując współpracę z nowymi zborami. A kiedy docieram na miejsce, biorę w rękę Biblię i... swój plik zabazgranych kartek, staję na podwyższeniu, patrzę prosto w oczy słuchaczy i zaczynam bardzo podobne, ale już nie Gierkowe przemówienie: Drodzy Bracia i Drogie Siostry, jesteśmy tutaj po to, aby naznaczać kierunek tego kraju...

I znów łza się kręci w oku. Łza wdzięczności za to, co ON zrobił i co jeszcze zrobi!